

Wspomnienia mieszkańców Kromnowa

MOJE ŚCIEŻKI PRZEZ ŻYCIE

Jan Pustułek

Opracował:

Edward Biliński

Kromnów, grudzień 2008

Pochodzę z Małopolski, ze wsi Przysietnica, która leży osiem kilometrów od Starego Sącza. Przyszedłem na świat w 1925 roku. Rodzice moi byli rolnikami. Co sprawiło, że w młodym wieku opuściłem rodzinny dom na zawsze? Czy był to przypadek? Na pewno nie. Kiedy skończyła się wojna miałem zaledwie dwadzieścia lat. W domu była okropna bieda, ziemi pod uprawę mało, trzody hodowlanej wcale. Rwałem się do świata. Dwa lata starszy ode mnie Janek Buczek, szkolny kolega i sąsiad, pracował w czasie okupacji trzy lata na wsi u Niemca. Było to w Sudetach, po czeskiej stronie. Kiedy wojna skończyła się, wrócił do Przysietnicy, ale na krótko. Spakował trochę rzeczy i ruszył w polskie Izery. Zatrzymał się we wsi Kromnów leżącej na wschodnim stoku masywu izerskiego. Była jesień czterdziestego piątego roku. Jan wybrał duży dom w środkowej części wsi nr 66, zgłosił się w urzędzie i uzyskał zgodę na zasiedlenie. W tym domu mieszkał jeszcze poprzedni właściciel gospodarstwa – Niemiec, który o ile dobrze pamiętam nazywał się Hornik. Był nieufny do Polaków, może się ich bał, a może traktował ich jako nieproszonych gości. Jan chyba sam nie radził sobie na gospodarstwie, bo było ono bardzo duże. Brakowało rąk do pracy. Jak do wsi napływali polscy osadnicy, władza podzieliła dom, budynki gospodarcze i ziemię na połowę i drugą część powstałą z podziału przyznała Staszкови Janczurewiczowi. Od tej pory gospodarzyli na swoim, mieszkali każdy w swojej części domu, ale kuchnię mieli wspólną. Mało tego, dzielili ją z Niemcem. Kiedy przyjechałem w czterdziestym szóstym roku do Kromnowa i zamieszkałem u Jana, do wspólnego stołu doszła jeszcze jedna micha – moja. Razem gotowaliśmy często zupę, która nazywała się melzupa. Jej nazwa pochodziła z niemieckiego. Mehl znaczy mąka, a zupę gotowało się w ten sposób, że do gotującej wody wsypywaliśmy mąkę ciągle mieszając. Zupa wyglądała wtedy jak żurek. Potem dolewało się mleka. Osobno były gotowane obrane ziemniaki. Polewane były olejem rzepakowym. Olej wytłaczał Hornik sam, ponieważ uprawiał jak inni jego ziomkowie we wsi rzepak. Na polach było dużo rzepaku. Ja

przyjechałem do Kromnowa dzięki namowom kuzyna Janka, który mieszkał też w Przysietnicy. Miał on na imię Władek. Janek pisał do Władka, zachęcał, żeby przyjechać do Kromnowa. Chwalił warunki życia o niebo lepsze niż w rodzinnej Przysietnicy, kusił hektarami ziemi, które czekały na pług. Zachęcony relacjami z tej odległej krainy, ruszyłem w podróż. Władek Buczek też nie ociągał się. Rok później Niemiec pożegnał swój dom na zawsze. Otrzymał od polskich władz nakaz opuszczenia domu i Polski. Szkoda go było, nie przeszkadzał nam, a spotkania przy melzupie zbliżyły nas do siebie jak dobrych sąsiadów. Jeśli miał do kogoś do końca żal, to chyba nie do nas. W drugiej połowie lat czterdziestych w Kromnowie mieszkało jeszcze dosyć dużo Niemców. Przeważały kobiety, widywałem też starych mężczyzn. Pamiętam, że w niedziele jak trzeba było pracowali na polu do obiadu. Po południu udawali się do swojego ewangelickiego zboru, który znajduje się w centrum wsi. Dzięki Bogu zbor stoi do dzisiaj. Zawsze był dostojny i piękny. Był dumą wsi. Zimą, pomimo braku prac polowych, nabożeństwa odbywały się po południu. Mężczyźni mieli na głowach czarne, płaskie kapelusiki. To ich odróżniało od reszty mieszkańców wsi. Kiedy przestali chodzić do zboru, dokładnie nie pamiętam, ale chyba w czterdziestym ósmym. Wtedy wieś opuścili, z nielicznymi wyjątkami, ostatni wysiedleńcy. Pastor zamknął zbor i wyruszył w drogę prawdopodobnie z nimi.

Tymczasem Janek Buczek ożenił się z córką Wdowiaków - Leokadią. przeniósł się do pustego, małego domu nr 57. Wcześniej opuściły ten dom dwie starsze Niemki, które były jego właścicielkami. Wyglądały jak wdowy. Chodziły w czarnych strojach, były zamyślane. Wydawało mi się, że czekały jak inne kobiety we wsi na powrót swych mężczyzn z wojny. Na pewno były bliskimi krewnymi, może siostry, może kuzynki, tego nie dowiedziałem się nigdy.

W pięćdziesiątym roku założyli we wsi Spółdzielnię Produkcyjną na wzór radzieckich kołchozów. Nie pasowała ona do polskiej rzeczywistości, ale gospodarze

wstępowali do niej z różnych powodów. Janek z żoną przeprowadził się do kolejnego domu nr 55 przy głównej drodze. Dotychczasowy dom, ten, w którym mieszkał z żoną, służył przez następne cztery lata jako magazyn rolniczy. Na piętrze przechowywano słomę, a w kuchni gotowano karmę dla świń. Obok w dużym budynku była świniarnia.

Kiedy poznałem swoją przyszłą żonę Julię, mieszkałem jako kawaler w pokoju na piętrze w domu nr 57. Z Julią ożeniłem się w pięćdziesiątym pierwszym roku. Pochodziła z rodziny Mieleniewskich, którzy żyli wcześniej na Wołyniu. W Kromnowie zamieszkali pod nr 65. Ojczym Julii, Worytko, pracował jako magazynier w budynku dawnego zboru. Trzeba bowiem wiedzieć, że kiedy świątynię zamknięto, przeznaczono ją na magazyn zboża. Dopiero kilka lat później, kiedy zlikwidowano spółdzielnię, ludzie ze wsi, Wdowiak i Karnowski składowali tam słomę. Wcześniej, zdołano wywieźć ze świątyni wszystkie cenne rzeczy. Niezwykle stare, zabytkowe organy trafiły podobno do kościoła katolickiego w Warszawie, zniknęły też żyrandole i sporo innych wartościowych przedmiotów, które były na wyposażeniu zboru. Mówią, że po zakończeniu wojny wisiały jeszcze na ścianach piękne obrazy.

Rok przed ślubem, zwróciłem uwagę na opustoszały domek z maleńką działką. Dom nosił numer 61, stał w cieniu dwóch potężnych lip, które są jednymi z najstarszych we wsi. Można przyjąć, że liczą znacznie więcej niż dwieście lat. Nieco poniżej rosły dwa drzewa kasztanowe. Myślę, że posadzenie dwóch drzew lipowych, czy młodszych kasztanowych miało jakieś znaczenie. O dwa stare drzewa lipowe dbano, widziałem ślady po ściętych konarach, które były bardziej potężne niż te, które odrosły i dzisiaj są też ogromne. Zostawiono kilkumetrowej wysokości pnie dając im na jakiś czas wytchnienie. Obie lipy przetrwały do dziś, dwa kasztany zostały ścięte później przez mojego sąsiada. Dom wyremontowałem, zrobiłem to jak mogłem najlepiej. Był naprawdę maleńki. Na parterze była tylko kuchnia, na stryszku miejsce na siano, od zachodu przytulona do domku częściowo murowana szopa. Kiedy za-

mieszkałem po ślubie z żoną u teściów, okazało się, że lepszy kąt ciasny, ale własny. Po dwóch tygodniach wspólnego życia z teściami, przenieśliśmy się do domku pod lipami. Tam byliśmy bardzo szczęśliwi, cieszyliśmy się, że jesteśmy na swoim. Pamiętam jeszcze jako kawaler, że w następnym domu nr 62 mieszkały od czterdziestego piątego roku prawie do połowy pięćdziesiątych lat, matka z córką. Były to Niemki. Przed wojną żyły we Wrocławiu. Wtedy dom w Kromnowie był traktowany jako letniskowy, jego właściciele przyjeżdżali do niego głównie latem. W czasie wojny obie panie przebywały w domku na stałe. Po wojnie nie szukały kontaktu z polskimi sąsiadami, ale córka pracowała w Jeleniej Górze w Wiskozy i nauczyła się trochę języka polskiego. Była najwyżej w średnim wieku. Próbowła nawiązywać rozmowę, kiedy spotykaliśmy się na polnej drodze. Mówiła o mężu, który zginął na wojnie, o losach swojej rodziny z Wrocławia. Dokładnie nie pamiętam daty, kiedy wyjechały z Kromnowa, ale na pewno nie wcześniej, niż po pięćdziesiątym trzecim roku. Któregoś dnia zapytała mnie nieoczekiwanie czy mam możliwość zorganizowania transportu, bo musi z matką dostać się na miejsce zbiórki dla Niemców do Wiskozy. Pożyczyłem furmankę z koniem od Heńka Horózanieckiego, pomogłem załadować na wóz trochę tobołków i drobnych przedmiotów. Staruszkę umieściliśmy na tobołkach, a młodsza sąsiadka wgramoliła się na ławeczkę obok mnie. Jechaliśmy przez Wojciszycę, potem prosto w kierunku Jeleniej Góry. Starsza pani miała w czasie podróży oczy cały czas zamknięte, ale chyba nie spała, jej córka w drodze milczała i ze smutkiem na twarzy patrzyła w zamyśleniu przed siebie. Na miejscu stała już z niewielkim dobytkiem grupka przeważnie starszych wiekiem Niemców. Wszyscy czekali na dalszy transport kolejną.

Wobec braku ziemi rolnej musiałem szukać pracy poza wsią. Nie chciałem być u kogoś za parobka. Nie chciałem też zatrudnić się w Spółdzielni Produkcyjnej, tam praca na wspólnym majątku nie odpowiadała mi wyjątkowo, a zresztą mogli do niej wstępować przede wszystkim ludzie z ziemią. Na szczęście przystąpienie do spół-

dzielni nie było obowiązkowe. Owszem gospodarze z hektarami, którzy mimo wszystko zachowali samodzielność, byli przez ówczesne władze w jakimś stopniu przy różnych okazjach szykanowani. W pięćdziesiątym pierwszym roku, 10 maja, zostałem zatrudniony w Piechowicach w tzw. Dynamitce jako strażak Zakładowej Straży Pożarnej. To był poniemiecki zakład zbrojeniowy. Było tam jeszcze bardzo dużo amunicji z czasów produkcji wojennej. W czterdziestym ósmym roku doszło na terenie zakładu do potężnego wybuchu tej amunicji. Była składowana w solidnych bunkrach o bardzo grubych, żelbetonowych ścianach. Wybuch miał miejsce w czasie rozbijania amunicji. Były ofiary śmiertelne. Zginęło wtedy ośmiu ludzi. To była rozpacz dla rodzin i wielki smutek dla pozostałych. Pogrzeb ofiar wypadku był bardzo uroczysty.

Kiedy mieszkaliśmy pod nr 61, w pięćdziesiątym drugim roku kupiłem krowę i wydzierżawiłem hektar ziemi. Tak więc oprócz pracy w zakładzie, pracowałem na roli. W tym czasie, rok po roku, przyszły na świat dwie córki Stanisława i Antonina. Niestety pierwsza z nich, Stanisława, zginęła w tragicznym wypadku w wieku dwudziestu trzech lat. Dokładnie dwudziestego siódmego marca 1973 roku. Stała wtedy na przystanku autobusowym w Wojcieszycach. Wjechał na nią młody, pijany kierowca i zabił ją. Była już mężatką, żoną Dziunka Cybulskiego, chodziła w ciąży. Rok młodsza Antonina wyszła za mąż za Cześka Mężyka. Po jego śmierci poślubiła jego brata Stanisława. Mieszkają do dziś w Kromnowie Woli. Kiedy przyszły na świat córki, w domku pod lipami zrobiło się bardzo ciasno. Trzeba było myśleć o zmianie miejsca. Wkrótce nadarzyła się okazja. Nie można było zwlekać, chociaż pod starymi lipami przeżyliśmy bodaj najpiękniejszy okres życia. Byliśmy przecież tam tak bardzo młodzi, cieszyliśmy się z życia całym sercem, tak jak to potrafią tylko ludzie zakochani. Wszystko, co wówczas robiliśmy, miało dla nas sens i jakieś szczególne znaczenie. Przeniosłem się jednak z konieczności z żoną i córkami na drugi koniec polnej drogi, do kuźni, pod nr 54. Tam oprócz lepszych warunków w domu, były dwa hek-

tary ziemi, a nas było czworo. Pamiętam jeszcze z wcześniejszych lat starego kowala Niemca i jego żonę również staruszkę oraz dwie dorosłe córki. Później wyjechali z nakazem jak inni. W tamtym czasie mieszkał w kuźni kowal Włodek Zegar. Pomagał w pracy Niemcowi. Później dogadał się z niejakim Frankowskim mieszkającym przy drodze do Kopańca i tam zamieszkał. Wcześniej zdążył się ożenić. Tak więc wydzierżawiłem od Zegara mieszkanie w kuźni oraz ziemię. Ten prowadził kuźnię, ale mieszkał w dalszym ciągu u Frankowskiego. Życie toczyło się dalej. Mogę powiedzieć, że nawet pomyślnie. W okresie, kiedy mieszkaliśmy w kuźni, przyszły na świat kolejne córki. W pięćdziesiątym piątym Jasia, sześć lat później dwie bliźniaczki Urszula i Krystyna. Jak dorosły, wyszły za mąż. Jasia za Franka Serniuka, gospodarzy z nim w Piastowie, Ula wyszła za Rysia Wójcika i też żyje na gospodarce w Piastowie. Krysia przeniosła się do męża Józka Wiśniewskiego aż do Krzewia Małego. Tam też gospodarzą do dziś. Jak się okazało mieszkanie pod nr 54 nie było ostatnim miejscem naszego zamieszkania we wsi. Cała moja rodzina, to znaczy żona, pięć córek i ja przeprowadziliśmy się do domu nr 70. Był 1964 rok. Trzy lata później dom wykupiłem na własność. Nie byliśmy pierwszymi polskimi mieszkańcami tego domu. Pierwszy po wojnie zamieszkał Stanisław Zakrocki z córką z pierwszego małżeństwa. Potem Antoni Dominiak ożenił się córką Zakrockiego i zamienili się domami. Po Dominiakach właścicielem domu był Kwiek. Ten postanowił wrócić do Małopolski, do rodzinnych stron. Ja wykorzystałem ten moment i wprowadziłem się po Kwieku. W tym domu żyję do dzisiaj, niestety od kilku lat sam. Żona Julia zmarła w 18 czerwca 1992 roku. Przeżyłem w murach ostatniego domu czterdzieści cztery lata. Szmata życia. Córki dorosły, opuściły dom, jedna nieszczęśliwie zginęła, o czym wspominałem wcześniej. Jako strażak pracowałem do emerytury. Po likwidacji Dynamitki w „Karelmie”. W tym zakładzie pracowało wielu mieszkańców Kromnowa. Jednocześnie cały czas uprawiałem z żoną i dziećmi naszą ziemię. Dzięki temu, pomimo, że człowiek się napracował, rodzinie było łatwiej żyć. Znalazły się pieniądze

na remont domu, udało mi się dobudować piętro, zrobić nowy dach, wymienić okna. Nawet wykopałem w ogrodzie stawek z przepływową wodą. Jestem z tego stawku bardzo dumny, bo dodaje uroku całej zagrodzie. Wokół domu jest bardzo ładnie, latem przyjemnie jest posiedzieć w cieniu. Zimą, kiedy przychodzi mróz, kaskada wody wypływającej ze stawku do potoku, zamarza i tworzy fantastyczne kształty. I wtedy jest na co popatrzeć, bo lodową rzeźbę wykonuje sama natura. Pomimo moich osiemdziesięciu czterech lat, jeżdżę na pole traktorem, wykonuję wszystkie prace w gospodarstwie, prowadzę samochód. Córki i zięciowie też nie zapominają o mnie i szczególnie w czasie żniw, czy prac jesiennych okazują mi pomoc. Przy tej okazji mam się kim pochwalić. Cztery córki zadbały z mężami o potomstwo. Dzisiaj jest już dziewięcioro wnuków, i aż siedmioro prawnuków. To mnie bardzo cieszy. Rodzinka powiększa się, potomstwo pamięta o mnie. Dla mnie jest to bardzo ważne, właśnie ta pamięć i szacunek, jaki jest mi w domu często okazywany. Dzięki mojej rodzinie mam silne poczucie godności osobistej. Wiem, że jestem dla moich bliskich osobą, która ma dla nich duże znaczenie. Bogu jestem wdzięczny, że nic złego mnie w życiu nie spotkało, oprócz nagłej śmierci córki. Dalej cała moja nadzieja w Bogu, że najgorsze nas ominie. Z ludźmi starałem się zawsze żyć dobrze, nikomu nie wadziłem. Myślę, że we wsi ludzie mnie lubią.

Tu u nas w Kromnowie życie mijало, jak pamiętam, spokojnie, ale i wesoło. Kiedyś młodzi lubili się bawić po pracy. W miejscu, gdzie dzisiaj stoi nowa remiza, stał okazały budynek. Był murowany, a w środku duża sala. W niej odbywały się tańce. W drugiej połowie budynku były pomieszczenia gospodarcze Wojtka Horożanieckiego. Sala służyła wszystkim jako wiejska świetlica. Oprócz zabaw tanecznych wystawiano tam również z okazji świąt Bożego Narodzenia Jasełka i inne przedstawienia. Szkoda, że nie ma już tej sali Tam, gdzie dzisiaj stoi sklep było boisko do siatkówki. Młodzi ludzie przychodzili po pracy, aby wspólnie grać. Sklepów we wsi było kiedyś kilka. Tuż po wojnie był sklepik jeszcze prowadzony przez Niemców.

Pod numerem 49. Prywatny sklep prowadzili Wcześniakowie, dalej poniżej Waluków był sklep z tarasem. Wcześniej, po Niemcach została tam piekarnia, później zamieniona na sklep. Jak była piekarnia, ludzie przynosili żyto, a piekarz w zamian piekł chleb. Pamiętam, że wszyscy bez wyjątku zajadali się tym chlebem, taki był smaczny. Kiedyś we wsi funkcjonowała szkoła podstawowa. Dzieci było wtedy bardzo dużo. Cały zabytkowy budynek ponemiecki był wypełniony uczniami. Dodatkowe sale lekcyjne urządzono w dawnej plebanii ewangelickiej pod nr 40. Do szkoły średniej młodzież jeździła do Cieplić pokaesem. Moje córki też uczęszczały do kromnowskiej szkoły i do Kopańca. Pierwszą kierowniczką szkoły w Kromnowie była pani Mazurkiewiczowa, później Urszula Kosiorkowa. W budynku szkolnym wcześniej było biuro Spółdzielni Produkcyjnej, potem GS miała swój sklep. Po likwidacji szkoły była tam też knajpa. Teraz w dwóch salach na parterze działa Sołeckie Centrum Kultury. Mieści ono Punkt Biblioteczny oraz świetlicę, w której spotykają się przy różnych okazjach mieszkańcy wsi.

W Kromnowie od czterdziestego piątego roku mieszkało wiele rodzin. Wieś była rolnicza. Gospodarzy było najwięcej. Tych bez ziemi niewielu. Dzisiaj wieś nie przypomina tamtej z początków osadnictwa. Jest odwrotnie, bo gospodarzy dzisiaj mało, rolnictwo prawie nie istnieje. Tamten Kromnów po wojnie był bardzo malowniczy. Nie było asfaltowych dróg, traktorów. Po drogach jeździły furmanki, wozy drabiniaste, piękne bryczki. Życie toczyło się leniwie w skwarnej porze letniej. Można było posłuchać śpiewu ptaków, usypiającej muzyki owadów. Wokół domów uprawiano kolorowe i pachnące kwiaty i warzywa. Na użytkach rolnych ludzie uprawiali zboża, na łąkach pasło się bydło. Po upalnym lecie przychodziła zima. Była zazwyczaj tak mroźna, że trudno sobie to dziś wyobrazić.

Ludzie pracowali ciężko na roli, ale mieli pomimo wszystko więcej czasu na wzajemne odwiedziny. Tych, którzy byli pierwszymi osadnikami we wsi jest coraz mniej. Nie ma już dzisiaj Jana Buczka, który był przez wiele lat sołtysem w Kromno-

wie. A on był na pewno jeśli nie pierwszym, to na pewno jednym z pierwszych Polaków we wsi. Nie ma dziś już Jana Łuczaka, Stefana Zakrockiego, Stanisława Koniarza, Anny Rochozy, Stanisława Taterki, Wandy Bondarowicz i wielu, wielu innych. A życie w Kromnowie toczy się dalej. Następne pokolenia mieszkańców wsi przeżywają tutaj na swój sposób swoje dni. Nie wiem, czy lepiej, ale na pewno inaczej.